

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

# Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.  
(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

## I.

Od południa ogień działowy zaczął słabnąć, później trzask karabinów maszynowych ustał zupełnie i pod wieczór można już było ustalić, że się nieprzyjacieli oddala.

Miasto odetchnęło z ulgą. Od kilku tygodni bowiem czerwoni, trzymając się w lasach tuż nieopodal miasta, nękali je i niepokoiili dniem i nocą. To też wszędzie powiał inny nastrój.

W mieszkaniu Edwarda odrazu wszystko wracało na dawne miejsce z poprzedniego zamieszania, w jakim spędzono doby ostatnie, kiedy w obawie pocisków trzeba się było kupić w jednym pokoju, lepiej chroniącym od granatowych niespodzianek.

Iza zbliżyła się do fortepianu, klawiaturę otworzyła gęstym prawie uroczystym, a potem, obróciwszy piękną matową twarz ku Edwardowi, stała chwilę w niemym wahaniu się, czy porozumiewaniu.

— „Dwa światy?” — szepnęła wreszcie.

— Ależ tak, tak.

Widocznym było, że myśli ich obojga zbiegły się na tej sonacie i tylko czekały zgody wzajemnej.

Iza sięgnęła po nuty i z pomiędzy grubych tomów oprawnych wyjęła zeszyt w rękopisie z poprawkami i przekreśleniami. Przez minutę duże jej oczy zielone przebiegały karty pośpiesznie, jakgdyby chciała pomóc swej pamięci, upewnić się, że zwłaszcza w niektórych miejscach nie zawiedzie jej ręka.

Wreszcie odsunęła nuty w skupieniu na bok, a sama usiadła. Jeszcze raz taburet poprawiła, na moment powieki przywarła, a potem śliczne palce alabastrowe wyciągnęła przed siebie i dotknęła klawiszy.

Ustronny salonik tonął w półmroku. Ampla z pod powały rozsiewała jakieś nieuchwytnie mgiełki koloru bżowego, a z zakątka przy kotelce rozchodziły się mocne wonie heliotropu.

Znakomity instrument z pod palców świetnej pianistki wywoływał dźwięki czarowne i napętniał niemi ustronie, pełne aryzmu i subtelnego smaku, świadczące o wysokiej kulturze gospodarzy domu.

Edward z oczyma przymkniętymi wpół leżąc, wpół siedząc, słuchał.

Nie, on już nie tylko słyszał, on to widział oczyma swej duszy, co kompozytor tchnął w potężne dźwięki.

Tak... dołem pełza... niby świat gadów i płazów... wstrętny, ciemny... złocony, zakurzony korowód, z którego bucha co chwila śpiew dziki, ochryply...

Raz wraz przerywa go wykrzyk prostacki, niby zgrzyt zapienionej wściekłości, niby charkot bezsilnej złości...

A nad tem wszystkiem potrząsa się płachtę w zaskrzepłej krwi maczaną i dźwiga się ją coraz wyżej, by zasłoniła sobą wszystko, co płynie góra.

Ale Edward widzi wyraźnie te korowody góra płynące... jasne, lotne, obłoczne... żarem uczucia rozpalone do białości... potęgą wionące...

I naraz słyszy, jak się te dwa światy zwały z sobą — ten z nizin, pełznący — z tym, co górną płynie... Zmagają się... bój toczą zażarli... I już brudna płachta, nad dolnym pochodem bujająca, cieniem swym zakrywa wszystko jasne, jak złowroga chmura słońce... i już tylko śmiech szyderczy, przekleństwem nabrzmiały, kołuje się w powietrzu...

Gdy naraz — niby rąbki złote na chmurach w godzinie zachodu — odzywają się echa nadziei wierzącej... i ponad wszystko jasny obłok znów się niesie wzwyż i krzepi.

Ale walki nie koniec.

Burza się wzmacza na nowo. Jeszcze bój się toczy, ale już cały w świetle.

Aż oto kończy się zwycięstwem górnego Świata... tryumfem Serca... królowaniem Ducha...

Edward otworzył oczy. To zamilkł fortepian. Cisza. Jeno Iza coś mówi.

— Ed, wiesz... pod koniec grania... widziałam przy fortepianie Zygmunta... Stał tak, jak

czasami przy lekcji, kiedy miał słuchać dzieła, które dla niego wystudytowała... Wyraźnie on... Widziałam, jak się przysłuchuje swojej kompozycji... Ale nie mogłam wpaść w niego wyraźniej, bo pojmowałam, jak on tego słucha... a jak ja będę musiała się mylić w grze, gdy oczy na niego odwróć...

Edward pokiwał głową smutnie.

— Widziałas go... Gdzie on być może? co się z nim stało?... Wiesz, Izo, że nigdy tak do brze nie rozumiałem tej jego sonaty, jak właśnie dziś dopiero...

— A wiesz, że ja dziś także bardzo głęboko odczułam treść tego wielkiego dzieła.

— Proszę cię, Izo, zagraj jeszcze raz to miejsce, w którym dwa światy nacierają na siebie po raz pierwszy... Tu... tu... tak...

Iza przegrała zaledwie kilka taktów i zaczęła się mylić. Mąż zdziwiony wzrok na nią obrócił, gdy ona już urwała w pół akordu i wychylona przed siebie... błędne oko kierowała w róg pokoju...

— Zygmun! — szepnęła. — Stój tu... Nie widzisz go, Ed... Patrz... błady... Ach! w piersi ran mnóstwo!

Rzuciła się przed siebie i naraz cofnęła... Krzyknęła rozpaczliwie:

— Rozstrzelany!

I zsunęła się do nóg męża.

Wczesnym rankiem huk dział obudził miasto zdumione.

Włec wróg nie odszedł, jeśli z powrotem u bram miasta.

A w mieście popłoch. Z ust do ust niosą się wieści, że czerwoni dostali posiłki, że teraz już lada chwila zdołają wyprzeć białych.

Biali tymczasem szykują się do opuszczenia swego grodu. Gorączkowe przygotowania. Na każdym boku znać, że wszystko dąży do ucieczki.

Kiedy nadszedł wieczór, ulicami zaczęły maszerować wojska, a za nimi ciągnęły się przez całe godziny ciężkie tabory.

Znowu jednak strzelanina ucichła, a ludność przeżywała w tej chwili trwogę coraz groźniejszą.

Nazajutrz rano wszystkimi ulicami ciągnęli ludzie w jednym kierunku, w dolną dzielnicę miasta. Szli mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, a wszyscy nieśli w rękach naczynia.

Ten i ów śpieszył tylko z kociołkiem, tamten z kubłem, z wiadrem. Dzieci z butelkami, matki ich z ogromnymi gąsiorami, wszystko w jedną stronę.

Nad rzeką już sierzcały mury ogromnych zakładów oczyszczania spirytusu. Magazyny były ostatnimi czasy niezwykle przepełnione. I naraz ktoś wydał rozkaz, by z kadzi wypuszczono zawartość wprost do rzeki.

Wśród nocy buchnęła z rur ciecz ostra, wonna i potokami w rzekę spływała spieniona. Komu bliżej było, poskoczył tam z miejsca. Ale wieść o tem rozniosła się zaiste lotem błyskawicy po najdalszych dzielnicach...

W ciągu paru godzin całe miasto było na nogach — na to, by w godzinę później z nóg się walić na wszystkich ulicach.

Już procesy ludzi z naczyniami próżnymi spotykały na każdym kroku tych, którzy wracając stamtąd, nie mogli unieść swoich naczyń napelnionych, bo już nogi nieść pod górę nie chciały pijanych.

Cale ulice zasypane były niebawem szkłem potłuczonym nad cuchnącymi kałużami, obok zaś wszędzie wałowały się ciała ludzkie.

Ten spał cicho... Tamten rzucał się jak opętany... jeden męczył się w wymiotach. Drugi jęczał głośno, błagając o ratunek...

A ten i ów nie potrzebował już niczyjej pomocy... gęstym trupim zagradzając drogę nowym pijakom...

Kiedy nadszedł wieczór, ogarnęła miasto większa trwoga, aniżeli myśl o wejściu nieprzyjaciela. Stare kobiety znosiły do mieszkania wodę, by się przygotować na wypadek pożaru. Ale mało gdzie było w domu naczynie, skoro wszyscy z czem mogli — biegli wciąż po wódkę.

Wiem całe miasto zaczęło się trząść w posadach. Huk wszystko ogłuszający trwał od kwadransa...

Nie wiadzianno, co się dzieje. Za każdym wybuchem większa panika ogarniała wszystkich. To też wybiegano na dziedzińce, na ulice, poszturchując się wzajemnie i zasypując pytaniami.

Ale już wszystkim odpowiadała krwawo potworna luna pożaru, oświetlająca w noc miasto niby w dzień.

Jeszcze chociaż rzadkie rozlegały się wybuchy nowych kadzi spirytusowych, a morze ognia szalało nad najniższą dzielnicą miasta.

Czy nieprzyjacieli wśród tego wszedł do miasta, czy też jeszcze broniło się ono — nikt nie umiał sobie wyłomaczyć. Jedni opowiadali, że załoga cała uciekła. Inni utrzymywali, że całe oddziały wróciły i obległy kadzie spirytusowe.

Byli świadkowie, co szczegółowo opowiadali, że widzieli, jak żołnierze, z kołami, z wiadrkami, wdrapywali się na kadzie, by sobie wódki zaczerpnąć... i pijani zsuwali się z krawędzi w głąb... i ginęli w środku...

A potem, kiedy szalała pożoga, w ulicach dymem napelnionych, mieszał się z wonią spirytusu smród mnóstwa palących się ciał ludzkich.

Przed wyziewami tej spalenizny nie było się gdzie schronić.

Mieszkanie Edwarda znajdowało się w przeciwniej stronie miasta, a przecież pełne było dymu.

Nazajutrz nowa trwoga ogarnęła kupców i właścicieli mieszkań zamożniejszych. Oto w dzielnicę handlową motłoch pijany gromił sklepy, piwnice plądrował i rabował sklepy.

Wprawdzie wszystko było zamknięte, zatłoczone, ale już nie tylko dzwęczały szyby wystawowe, lecz dzwoniły zgrzyliwie łamane żaluzje żelazne.

Kobiety jak więdźmy, jak furie, rzuciły się z kąta w kąt na łatwą zdobycz... i nie tylko same porzywały, czego dopadły — ale wszystko niszczyły, lub na bruk uliczny wyrzucały przez drzwi i okna... dla drugich... dla nikogo.

Znowu wszystkimi ulicami ciągnęły procesy ludzkie w stronę magazynów bogatych, by się obłowić.

A między motłochem uwijali się ludzie z tych sfer, których nikt nie mógłby podejrzewać, że pójdą kraść i rabować — wzorem mełw społecznych.

Edward, stojąc w oknie swego gabinetu, co chwila pokazywał żonie ludzi przesuwających się pod murem z jakimś ciężarem nie dwuznacznie świadczącym skąd pochodził.

Pożar i pogrom trwał już parę dni, a miasta jeszcze nieprzyjacieli nie zajął. Robiono różne wnioski, przypuszczenia; ludzie pocieszali się, że musiano gdzieś w polu stoczyć bitwę decydującą i niema już obawy o to, by siły wrogie dotarły do miasta... Gdy naraz ni stąd ni zowąd zauważono na ulicach patrole z wielkimi kordami czerwonymi.

— A zatem zmiana władzy.

Tymczasem pogrom wcale nie ustawał. Przeciwnie, rozszerzał się. Po sklepach przyszła kolej na mieszkania, jeno już nie ludność cywilna brała w tem udział, lecz bandy wojskowe, które godzina za godziną wkraczały coraz liczniej do miasta.

Na murach pojawiły się jakieś odezwy z podpisami nowych dygnitarzy. Z poza każdego zaułka trzaskały liczne strzały. Czasem krzyki pijackie mieszały się z dzikim śpiewem żołdactwa.

Wreszcie cisza marliwa z mrokiem nocnym zaległa wszystko wokół. Nawet luna pożaru przycisnęła.

Dzień minął następny w wyczekiwaniu nerwowym, w wyczekiwaniu czegoś, co miało nadejść. Ludzie nie odważali się na chodzenie po ulicach, więc tylko ci, którym było blisko, przebiegali z domu do domu do znajomych.

W mieszkaniu Edwarda znalazło się kilku przyjaciół z sąsiednich ulic. Wszystko ludzie z jednej sfery: artyści-twórcy.

Wiedzieli jeszcze mało co o zmianie władzy w mieście i nawet szczegółów nie byli ciekawi. Wystarczał im fakt, że w tej chwili rządy przeszły w ręce ordynarnego chama, który pisać tylko umiał na Sztukę, Poezyę, Naukę, na dzieła Ducha... I wielkie w nich było przygnębienie, bo czuli, że niczem nie da się powstrzymać zagłady, jaka groziła Kulturze.

— Jakiś pan szczęśliwy, poeto — mówił rzeźbiarz do Edwarda — że jesteś między nami cudzoziemcem. Bądź co bądź, musisz pan czuć pewną dumę wobec nas, na myśl, że kiedy będzie można stąd bezpiecznie uciec, pojedziesz nas ze współczuciem, że musimy pozostać tu na zawsze, kiedy ty u siebie zastaniesz wszystko po dawnemu... w cywilizacji i kulturze...

(Ciąg dalszy nastąpi).